Nr 37. We Lwowie dnia 13. września 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z WIERCHÓW I HAL.

VI.

Wiatr halny.

I.

Huczy nademną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, z trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładzie na wysmukłe smreki.

Od razu kłody o grubości snopów
Gną się w mych oczach, jak źdźbła lichej słomy:
Tak igra niemi głuchy, niewidomy
Gość, co od skalnych wlecze się przekopów.

Idę, wciąż idę po jęczącym borze..
I choć spotykam pnie, wyrwane z ziemi,
Ten szał, w błękitnym zbudzony przestworze,

By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza. . Radbym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa.

II.

Miałem-ci w sobie ongi moc czuwania,
A dzisiaj senność ogarnia mi ducha:
Gdzie życie wrzało, tam dziś pustka głucha,
Gdzie słońce było, chmura blask przysłania.

Jakowaś boleść, jakaś zawierucha,
Co słabym bytom pewną śmierć wydzwania,
Niech jak, halnego wiatru straszne grania,
Wstrząśnie istotą moją: Jest-li krucha,

To po niej żalu nie będzie... A jeśli
Nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów,
To razem z wichrem taki szlak zakreśli,

Że zetnie na nim smreki swym oddechem,
Sił pozbawione dla idących czasów,
A to, co mocne, odpowie jej echem.

III.

O wichrze halny! Cóż, że przelękniona
Chowa się koza przed twojej potęgi
Wiewem niszczącym? Sam orzeł, co kręgi
Toczy podniebne, tuli się do łona

Szczelin turniowych, bo królewskich skrzydeł
Jędrna rozpiętość nie wytrzyma próby...
Strącaj kozice, ty posłańcze zguby,
I orły chwytaj w oka swoich sideł

I miażdż o skały, i, jak łan, pokosem
Bór położywszy, hucz szaleńczym głosem —
Razem z mą duszą hucz i świszcz radośnie:

Z ich trupów wstanie nowe ptactwa plemię,
Pnie wywrócone zmierzwią zrytą ziemię
I z drzew cmentarza świeży las wyrośnie.

IV.

Huczy nademną halny wiatr... Na drogi
Jego przemocy, po których zagłada
I ból pośpiesza, duch się mój wykrada,
Świeżo uskrzydlon, żądny łez i trwogi.

A od hal bujnych płynie jęk złowrogi,
Rozpacz łkająca, że wichr pobił stada
I porozrzucał koleby... I blada,
Z włosem rozwianym i z drżącemi nogi,

Postać juhasa przed oczy mi stanie...
I, niby orzeł z podciętemi pióry,
Krwią skrapiający swe rodzime granie,

Duch mój do smreków tuli się bezwładnie...
I naprzód czuje strach i żal ponury,
A potem znowu senność go opadnie.

Jan Kasprowicz.

Nihiliści i nihilistki.

Szkic z Rosji

przez

JERZEGO BRANDESA.

Najgłośniejszy z krytyków dzisiejszej doby, Duńczyk Jerzy Brandes (właściwie dr. Izydor Kohn) wydał niedawno książkę p. t. »Z państwa absolutyzmu«, w której skreślił wrażenia ze swej podróży, jaką przedsięwziął w r. 1887 do Petersburga, Moskwy i przez Smoleńsk do Warszawy, na zaproszenie rozmaitych Towarzystw, w celu wygłoszenia odczytów literackich. Dołączywszy do tego, co widział w Rosji to, co o niej czytał, a przedewszystkiem to, co mu powiedziano, starał się w dziełku swojem stworzyć całokształt charakterystyki państwa rosyjskiego.

Książka ta posiada wszystkie zalety i wady autorskie Brandesa. Zaletami są żywy tok opowiadania, barwność opisu, umiejętność pomijania rzeczy mniej ważnych, a wysuwania na pierwszy plan charakterystycznych i wyprowadzanie z nich wniosków. Wadami są częsta powierzchowność sądu, łatwowierność względem informatorów i zbyt szybkie uogólnianie zaobserwowanych cech. Tam więc, gdzie dla zbadania jakiejś kwestji trzebaby długich i gruntownych studjów, jak np. przy ogólnej charakterystyce narodu rosyjskiego, lub co do kwestji polskiej, tam, mimo niezaprzeczonej sympatji okazywanej dla nas, jak w ostatnim z wymienionych wypadków, mimo błyskotliwości stylu, w tych właśnie miejscach świetnego, poglądy jego nie wytrzymują krytyki Zato, gdzie kwestja jest więcej skupiona, gdzie zresztą znajduje się obszerna literatura do niej się odnosząca, jak to jest z nihilizmem, tam jego dar ujmowania przedmiotu w jeden obraz oddaje mu wszelkie usługi. To też ustępy o nihilizmie należą do najlepszych w nowej książce Brandesa.

Ciemnym, nisko stojącym na stopniach cywilizacji i przesądnym jest materjał ludzki, który wychować i na którym się oprzeć chcą młodzi ludzie i kobiety, dążący do tego, aby wielką ludność Rosji podnieść do udziału w postępowych ideach współczesnych. Widocznem to jest jak na dłoni, że owo wychowanie wymaga wiele czasu i że poparcie na które ci ludzie liczyć mogą narazie jest niczem.

Dobrze charakteryzują ten stan dwa djalogi Turgeniewa, ze względu na cenzurę, opuszczone z jego »Poezji prozą«; są to djalogi pod tytułem »Roboczy lud i człowiek o białych rękach«.

W pierwszym ludzie roboczy dziwią się człowiekowi i przeczą jego twierdzeniu, jakoby był jednym z nich, wskazując na swoje spracowane ręce, które mają woń gnoju i smoły, podczas gdy jego są delikatne i białe.

— Czem czuć twoje ręce? — pytają.

— Powąchajcie sami.

— To dziwne, zdawałoby się, że mają woń żelaza!

— Tak, czuć je żelazem. Sześć lat nosiłem na nich łańcuchy,

— Dlaczego?

— Dlatego, żem myślał o waszem szczęściu, żem chciał was biednych uczynić wolnymi. Ja podniosłem głos oburzenia na waszych gnębicieli, ot — zaco mnie zakuto.

— Zakuto! a czegożeś się buntował?...

W drugim djalogu, którego akcja dwa lata potem się rozgrywa, ci sami ludzie opowiadają wzajem sobie o młodym panu, który wtedy z nimi rozmawiał.

— Ma dziś być powieszony: przyszedł już taki rozkaz.

— A więc się znowu zbuntował?

— Tak znowu.

— Dobrze, kochany Dymitrze, ale jak ci się zdaje czybyśmy nie mogli dostać z kawałek postronka, na którym go powieszą? Powiadają, że to przynosi szczęście dla domu?...

— A no, Piotrze, spróbujemy.

Oto jest ów materjał ludzki, który młodzi ludzie i kobiety, co »w lud idą« pragną oświecić i podnieść! Czynią to z niezmordowaną, bohaterską gorliwością, która jest ponad wszelkie pochwały i która niema równych sobie przykładów w żadnym innym kraju. Porzucają rodziny i przyjaciół, wystawiają się na chłód i głód, gniew i szyderstwo, pogardę i prześladowania, urągają więzieniom, chorobie i śmierci bez żadnej innej nagrody, prócz tej której im udziela zewnętrzne poczucie spełnionego czynu. Nie oczekuje ich jakakolwiek sława, działalność ich jest tajną, ofiary bezimiennemi. Życie ich jest nieprzerwanym łańcuchem trudów i cierpień.

Ci ludzie stanowią działającą na zewnątrz część rosyjskiej inteligencji, świat sam dla siebie, z własnemi, czasami dziwnemi pojęciami moralnemi, które jednakże zawsze większą wartość posiadają niż owe, burżuazyjnego pochodzenia, w Europie moralnością zwane. Jestto młody czysty świat, z płomienną wiarą młodości, a biernym charakterem rosyjskiego bohaterstwa i stałością wobec cierpień. Wiara w historyczną misję i poczucie własnej siły, podtrzymuje ich.

Tichomirów, który był jedną z naczelnych sił rewolucyjnego ruchu, a później wygnany z kraju, mieszkał w Paryżu, gorzko ubolewając nad owymi zamachami, któ e rzuciły Rosję w otchłań obecnej reakcji, jest zawsze kompletnie wiarygodnem źródłem, jeśli kreśli szczegóły, chociaż nie w uogólnieniach. Otóż on opowiada o pewnym młodym więźniu, który ustawicznie się buntował i domagał się niesłychanych ulg, np. pozwolenia dla więźniów celkowych na rozmowy i wspólne przechadzki.

— Należy protestować — powtarzał ciągle.

— Ależ do czego tem doprowadzisz — odpowiadali mu towarzysze — zapominasz, że siedzisz za ryglami i zamkami. Gdzież znajdziesz siłę, przed którą ugnie się władza?

— Siłę? gdzie? we mnie, w tobie... ja sam jestem siłą!

— Kochany przyjacielu! tę siłę inni mogą w jednej chwili zmiażdżyć.

— Niech miażdżą! Chciałbym to widzieć! niechaj spróbują!

Oto jest niewątpliwie klasyczny przykład owego głębokiego poczucia niezwyciężalności, którem się stronnictwo ruchu w Rosji cechuje.

Można sobie wyrobić pewne pojęcie stoicyzmu u rosyjskich więźniów, czytając w Dostojewskiego «Wspomnieniach z martwego domu«, ile batów bez skargi, bez jęku znoszą. Co pewien czas widzi się raz po razu z jakiem męstwem poszczególni więźniowie polityczni szukają śmierci, aby swoich towarzyszy nie zdradzić. Jeden odebrał sobie życie, oblawszy się zapaloną naftą, drugi przeciął sobie gardło kawałkiem szkła, gdyż mu uniemożliwiono zdobycie jakiejkolwiek innej broni.

Rewolucyjne siły tego kraju od lat już wielu zwróciły uwagę reszty świata i utrzymują w ustawicznem naprężeniu jego zaciekawienie.

Nihilistami nazywamy ich, »Nigilisty« wymawiają Rosjanie to słowo, które jednak dziś już stanowczo jest przestarzałem. Jeśli Europa rozumie przez to terrorystyczną grupę, to jest ona sama dla siebie bardzo małą, kto wie — jak obliczają w Rosji — czy ogółem 500 osób, które może niechętnie zajmują się myślą użycia dla postrachu, dynamitu i sztyletu morderczego.

Ale jeśli się ma na myśli nie tę jedynie grupę, to nihilizm okaże się potęgą społeczną, która się rozpościera wszędzie, na wszystkie sfery i która wszędy w rozproszonych punktach kraju znajduje poparcie i ochronę. Taki nihilizm nie wiele różni się od tego, co w Europie ogólnikowo rozumie się przez wykształcenie: jestto ów głęboki sceptycyzm względem naszych urządzeń w dziedzicznej ich formie, które nazywamy władzą królewską, kościołem, małżeństwem, własnością.

Nihiliści sami nie zowią siebie tem przez Turgenjewa w »Ojcach i synach« puszczonem w obieg mianem. Datuje się ono jeszcze z czasów, kiedy Rosja przez śmierć cara Mikołaja nagle zwolnioną została od spotęgowanego przez niego do najwyższego stopnia, tyrańskiego absolutyzmu, a w powietrzu czuć było nietylko zbliżające się zniesienie poddaństwa, ale i myśl, którą od dawna krępowano, uczuła się nagle swobodną, ruchliwą, lotną i słowo, które również było długi czas poddanym niewolnikiem rządu, a które w owej chwili otrzymało wolność, lub raczej na mocy jakiejś wewnętrznej konieczności wolność tę samo sobie zdobyło. (C. d. n.).

Ze statyki i dynamiki ludowej.

(podług obserwacji czynionych na góralszczyźnie).

(Ciąg dalszy).

Przed kilku laty kiedy rozeszła się wieść, że w Czarnym Dunajcu wybuchła zaraza bydlęca, rząd wysłał tam weterynarza, nakazał mu przeprowadzić rewizję, osobniki ze stwierdzoną chorobą zabijać, a podejrzane zabierać do obserwacji. Ponieważ górale często podejrzywają weterynarzy, że im chcą figle płatać i brane pod obserwację bydło sprzedają, czy pozwalają innym sprzedawać, poczęli wzbraniać zarówno niszczenia jednych, jak i zabierania drugich egzemplarzy. Sprowadzono żandarmów. Wystąpiła cała gmina miasteczka dość wielka solidarnie, ludność męska i niewieścia, starzy i dzieci i ani jednej sztuki nie wydali. Był to już rokosz. Przybył z Nowego Targu starosta z całym personalem urzędników i arsenałem perswazji, grożąc użyciem siły zbrojnej w razie dalszego oporu. Czarnodunajcowie otoczyli łańcuchem żywych ludzi urzędników i żandarmów, biorąc ich w formalne oblężenie i szyderstwem wyzywając do walki. Posłano do Sącza po wojsko. Gdy wśród ciszy zimowej odezwał się zdala werbel miarowy bębnów nadciągających kompanji piechoty, górale uzbroili się w kosy i flinty, góralki w cepy, widły, kamienie i wrzątek, pierwsi w szeregach, na progach lub u wejścia chałup, drugie przy oborach i na dachach, a reszta otoczyła rynek, trzymając w dalszem oblężeniu starostę, a wszyscy gotowi do przyjęcia boju. Major dowodzący oddziałem ekspedycyjnym przedarłszy się z nim do wnętrza rynku i utworzywszy czworobok dokoła zebranych urzędników administracyjnych i sądowych, tudzież paru z inteligencji miejscowej, przemówił do żołnierzy, którzy również byli góralami, apelując do ich obowiązków żołnierskich i przysięgi złożonej na posłuszeństwo i napominając, aby w spełnieniu czekającego ich krwawego obowiązku nie dali się powodować żadnemi względami jedności pochodzenia z rokoszanami, ani też względami pokrewieństwa, a po bezskutecznem wezwaniu rokoszan ze strony starosty do poddania, nakazał broń nabijać.

Niebawem rozległa się donośna komenda: cel, po której miała nastąpić pal! Ściany karabinów podniosły się do wysokości oczu żołnierskich, skierowane lufami do górali. Lecz w tej chwili p. Golejewski-Czarkowski, podówczas starosta, nie chcąc brać przed historją odpowiedzialności za krew przelaną, przeszkodził wygłoszeniu ostatniej komendy.

Poradzono inaczej. Zaczęto się wdawać w pertraktacje z rokoszanami, zawieszono publicznie zabitą krowę, demonstrując jej części choro-

bliwe, zaczem wyłowiano inicjujących, oporniejszych i gorętszych, oddano pod sąd i skazano na różne kary sądowe.

— Ale to był rokosz, zarzuci niejeden — opór natury negatywnej przeciw władzy, a więc opozycja, na którą dawno stać ludzi.

— To była obrona pobudek ekonomicznych, najżywotniejszych dla ludu, kwestja jego wyżywienia — zarzucą drudzy.

Tak, i ten wzgląd zasługuje na uwagę: zanotujmy go. Co zaś do pierwszego zarzutu, — niema on waloru, boć przecie nie idzie o wartość moralną akcji, jeno o sposób jej przejawiania się, o zdolności asocjacyjne.

Zresztą oto dajemy następujące dwa przykłady wręcz przeciwnego charakteru akcji o pobudkach również wręcz odmiennych, bo natury czysto moralnej, nie ekonomicznej.

Właśnie teraz minęło okrągło pół wieku temu, kiedy wśród prądów wolnościowych, poczynających nurtować ówczesny Zachód Europy, wśród propagandy Towarzystwa demokratycznego, choć niezależnie od niego — wybuchło też na kresach Podhala nowotarskiego — w Chochołowie powstanie góralskie za sprawą miejscowego proboszcza i organisty. Ruch ten ludowy tem się różnił od ruchu mazurskiego, że nie był skierowany przeciw dworom, lecz przeciw rządowi austrjackiemu: Chochołowianie wypowiedzieli wojnę Austrji. Potworzyły się zbrojne oddziały, z których jedne wychylały się dalej na terytorja góralskie werbować ochotników w szeregi powstania, inne zabrały kasy rządowe a znosiły ekspozytury rządowe. W Czarnym Dunajcu rozpoczęła się kontragitacja, w której największy udział wzięli financery czyli strażnicy skarbowi, uwinąwszy się tak skutecznie, że rychło zbrojny oddział czarno-dunajczanów wystąpił jako sprzymierzeniec Austrji i wziął za zadanie wystąpić do walki z Chochołowianami i jeśli się da uśmierzyć powstanie. Obawiano się tylko, czy Zakopianie nie połączą się z Chochołowem. Gdy wysłano na zwiady i przekonano się, że prócz paru, reszta waha się lub siedzi cicho w Zakopanem, wyruszono na Chochołów. Mimo, że główny oddział chochołowian był nieobecny, zaangażowany wyprawą nad granicą węgierską, rozpoczęta walka trwała kilka godzin z rzędu, była dość zażartą i uporczywą, musiano prawie każdą chałupę zdobywać szturmem.

Widzimy, że ci Czarno-Dunajczanie, którzy we czterdzieści kilka lat potem występowali w rokoszu przeciw rządowi austrjackiemu, w tym razie byli najlojalniejszymi jego obrońcami: nie wartość samej akcji jest w tej chwili rozstrzygającą, ani jej motywa, jeno zdolność asocjacyjna.

— Byli zbałamuceni czarno-dunajczanie — zarzucą jedni.

— Chochołowianów zyskała propaganda zewnętrzna — powiedzą drudzy.

Czyli mówiąc przedmiotowo, bez oglądania się na dążności tego lub owego stronnictwa, stwierdza się wartość propagandy i skuteczności pracy dla sprawy publicznej u górali, pracy, dla której oni pochopny dać są w stanie posłuch. A to warto też zanotować.

Lecz oto przykład akcji spontaneicznej b.. nawoływania i propagandy zewnętrznej:

Na całem Podhalu — w szerszem znaczeniu tego wyrazu, a więc tam gdzie skoncentrowany jest czysty żywioł góralski, nie było najmniejszego śladu nawet porywów do ruchu przeciw — klasowego w 1846 roku Jak mak zasiał cisza tu panowała. Nie miejsce tu wchodzić w pobudki takiego spokoju i wstrzemięźliwości wobec łun pożaru i potoków krwi o miedzę: czy wyjaśnienia szukać będziemy w aspiracjach natury góralskiej, czy w braku propagandy, czy w małej ilości dworów szlacheckich na Podhalu lub właściwościach tutejszych właścicieli obszarów dworskich, czy wreszcie w góralskich poglądach wyrobionych dziejami i tem stanowisku społecznem, przy którem sołtysie urządzenia szeroko tu były uwzględnione i przechowały się do ostatnich czasów, a ludność góralska większą cieszyła się swobodą i niezależnością niż reszta ludu polskiego, — dość że fakt przyjmuje się jako taki.

Spokój ten wszakże trwał dopóty, dopóki Mazury nie zamierzyli wyprawy na Podhale, reflektując na dwory tutejsze. Na pierwszą wieść o wejściu jednej rzeszy mazurskiej na Podhale, zakotłowało się tu jak w ulu i w oka mgnieniu zebrała się zbrojna drużyna górali i wyruszyła z Białego Dunajca na spotkanie. Do starcia wcale nie przyszło, bo Mazury na samą wieść o wystąpieniu górali pierzchnęli pośpiesznie w nieładzie.

Możnaby jeszcze dalej prowadzić rejestr podobnych przykładów, ale ograniczmy się na zaznaczeniu dwóch kategorji — z przeszłości i teraźniejszości. Zdolność i gotowość gromadnej akcji w razach nadzwyczajnych zachowała się w tradycji z epoki napadów tatarskich, kiedy lud góralski mniej dawał się od ludu nizinnego zaskoczyć niespodzianie i przygotowywał opór o obronę, łącząc się w zastępy liczne a zbrojne, choć natura terenu znacznie ułatwiała obronę osobistą i indywidualną samopomoc. Toć Sienkiewicz wiernym był prawdzie psychicznej, tradycyjnej i lokalnej, malując obraz obrony góralskiej Jana Kazimierza przeciw Szwedom w wąwozach tatrzańskich.

Z obecnej zaś chwili potrzeb powszednich mamy do zanotowania taki fakt:

W obec zgęszczającej się ludności i idącego za tem rozdrobnienia gruntów, a jeszcze bardziej wobec wzrastania ceny ziemi tak w skutek tych przyczyn jak jeszcze bardziej napływu na Podhale gości i osadników z całego kraju, podhalanie łączą się w spółki po kilku lub kilkunastu, wyprzedają tu grunta swoje i przenoszą się na

stronę węgierską, na Orawę, Liptow lub najczęściej Spiż, gdzie ziemia jest tańsza i gdzie taka spółka na wspólny rachunek zakupowuje obszar ziemi znaczniejszy, najczęściej dworski i rozparcelowuje pomiędzy oddzielnych członków spółki.

Reasumując i kategoryzując to, cośmy powiedzieli, wypada, że u górali:

1) istnieje wysoce rozwinięty indywidualizm osobisty i szczepowy, silniejszy niż gdziekolwiek indziej w Polsce;

2) z sadniczo biorąc — stawia on silną zaporę asacjacji. Mimo to, takowa dotychczas u nich pojawiała się w różnych czasach i postaciach.

Z rozpatrzonych form i przejawów asocjacji góralskich więcej było takich i silniejszemi te, które miały

a) charakter ekscytacyjny,

b) opozycyjny,

c) ekonomiczny,

d) własnej emanacji lub inicjatywy góralskiej,

e) natury lokalnej lub odpowiedniej właściwościom historycznym, szczepowym i terytorjalnym.

Trwałość zaś i ciągłość miały tylko asocjacje ekonomiczne, a rozumiem tu trwałość zasadniczą, przedmiotową nie zaś podmiotową, tj. trwałość idei lub danej instytucji, nie zaś personalną, odnośnie do składu osobistego danej instytucji. W tym razie tak samo trzeba być ostrożnym, jak w uogólnianiu wniosków poza sferą rozpatrzonych zjawisk i faktów. (Dok. nast.).

Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

(Ciąg dalszy).

XI.

Ów różowy »blondynek« usprawiedliwił całkowicie moje podejrzenia, że w osobie jego łączy się dziwnie niewinna powierzchowność z dziwnie ogromną winą. Jest to ów zawzięty, okrutny finlandczyk, który w noc ciemną, na Bałtyku, na niewielkim statku kupieckim, zamordował kapitana, pomocnika jego i trzech majtków po kolei, a ciała ich powrzucał do morza.*) Pozostałych dwóch ludzi z załogi ocalało dla tego jedynie, że jeden z nich, zwykle śpiący już mocno w tym czasie, obudził się przypadkowo, usłyszał jęki którejś z ofiar i wezwał do pomocy drugiego. W ten sposób zdołali się obronić, związać mordercę i dobić się z opustoszałym statkiem do portu. I oto potwór ten o delikatnem i ładnem ciele nie obawiał się zostać sam jeden ze zbrodnią swą tylko na otwartem morzu, w ponurą noc ciemną, w późnej jesieni — byleby tylko nasycić żądzę niesłychanej zemsty. A mścił się za to jedynie, że kapitan zwymyślał go ostro za przewinienie służbowe, gdy mu zaś impertynencko odpowiedział, wymierzył mu policzek. Koledzy tyle tylko zawinili, że prowadząc go do improwizowanej ciupy na statku, trzymali go mocno i nie pozwalali się szamotać. Znalazłszy w ciupie siekierę — otworzył nią w nocy liche drzwiczki i rozpoczął krwawą swą zemstę.

Strach pomyśleć: noc, ciemność, dokoła fale czarne, łoskot spadających ciał — i ten pogromca kainowy, skradający się zręcznie, cicho jak tygrys. Teraz ma wyraz twarzy wcale niezmącony, nic nie mówiący — tylko oczy ponure z trudnością niby obracające się w orbitach. Pewnego dnia przestał pracować, nie opowiadając się nikomu. Użyto wszelkich kar — cielesnej, nawet głodu — nic nie pomagało; on zaś nie chciał powiedzieć dwóch tylko wyrazów: »jestem chory«. Wreszcie gdy stracił »szlachetny ten syn północy« ostatecznie »młode swe siły«, dostał się pod naszą pieczę.

Gdy go badają lekarze, nie raczy się wcale odzywać. Trzeba też przyznać, że ani Armer, ani tembardziej doktor naczelny — nie otaczają go wcale zbytnią troskliwością. Pacjent bo nie usposobia tak dalece do zajęcia się drogocennem zdrowiem. Naczelny doktór utrzymuje, nawet, że wznowiłby specjalnie dla niego karę śmierci, zniesioną już w państwie dla kryminalistów.

Armer zaś krzywiąc się, powiada, że ręka mu czasem drży od wstrętu, gdy bada puls jego i że obawia się przyłożyć głowę do piersi pacjenta przy wysłuchiwaniu, gdyż lęka się, by go tymczasem nie udusił...

— Już to przyznać trzeba, że miłą mamy tu kolekcję — mówi z napół komicznym, napół żałośnym grymasem.

Finlandczyk też rozpoczyna nowy rodzaj tyfusu. Obawiamy się groźnej epidemji.

XII.

Kryzys rzeźbiarza nadszedł nieco później, niż tegośmy się spodziewali. Jest między życiem i śmiercią. Gorączka wznosi się już ponad 40°. Leży bez ruchu, bez dźwięku. Wpadnięte podłużne oczy jego szczelnie się zamykają. Armer przyszedł sam przy nim czuwać.

Przez chwilę siedzieliśmy oboje cisi, sztywni, z naciągniętemi strunami naszych nerwów i wytężoną w jednym kierunku myślą. Zdawało mi się, że jakieś żelazo ciężkie i gorące ściska mi skronie, a serce się rozrosło w zwężonej nagle piersi. Armer widocznie chciał się czasem

*) Proces autentyczny z r. 1893 w Petersburgu.

uwolnić od gniotącego go nastroju i nie spuszczając z oka pacjenta, odzywał się do mnie jakiemś cichem słowem.

— Utrzymuje zatem pani, że lepiejby było, gdyby to przesilen'e śmiertelnem było dla niego?

— Niestety, trudno wątpić o tem. Gdy jest zdrów i przytomny, dręczy się do szaleństwa wspomnieniami zbrodni. Życie jego upływa w towarzystwie wyrzutków (wskazałam ręką na finlandczyka i jego kolegów) i w pracy nad siły. Niema nieszczęśliwszego wśród wszystkich kryminalistów — i jeśli dotąd jeszcze życia sobie nie odebrał, to tylko dla tego, że uważa on los swój za sprawiedliwą karę, którą powinien z poddaniem się znosić.

— Kto wie, czy nie zanadto go pani uszlachetniasz?

Znużenie fizyczne, praca i niewygody zapewne przytępiły już znacznie owe męczarnie ducha.

Przyszedł też on niewątpliwie do przekonia, że wycierpiał już całe piekło i że odkupił, już grzech własny. Bardzo być może, iż jakaś amnestja niespodziana ucieszyłaby go niemniej jak innych — i że myślałby tylko o wygodach i spoczynku na resztę życia Z drugiej zaś strony tacy jak on i lepsi nawet od niego nie powinni umierać przedwcześnie, chociażby dla tego, żeby oddziaływać powoli na swych szanownych kolegów.

— Niestety, nie mogę wznieść się na takie wyżyny i nadto żałuję go osobiście, ażebym tylko dla takiej misji chciała zachować go przy życiu. Pierwsze pańskie przypuszczenie stanowczo jest niesłuszne, gdyż obserwowałam go, póki był przytomnym. Ustawicznie się chyba zabija przeszłością — i tak wyłącznie o niej rozmyśla, że dziwić się należy, iż dotąd jeszcze nie zwarjował. Dlatego też właśnieby nie mógł i nie uważałby się zresztą za godnego zostać apostołem wśród grzeszników.

Noc posuwała się w głąb — Armer znużony zadrzemał, wsparty na stole. Moje struny naciągnięte rozluźniały się zwolna, spokój znużenia począł opanowywać mię stopniowo. Obawiałam się, że zasnę. Zajęłam się więc z całą uwagą mierzeniem temperatury. A po kwadransie zbudziłam Armera i oznajmiłam mu obojętnie, apatycznie, — że chory nasz przebył kryzys »szczęśliwie«. Gorączka poczęła spadać. Ha — wyratowaliśmy — winszujemy sobie...

XIII.

Szczególne to jest... szczególne... Jakie dziwne rzeczy się dzieją w chaosie tym cierpień i grzechu! Człowiek wpierw musi przerobić się chyba umysłowo i moralnie, żeby zrozumieć ten ciemny, tajemniczy świat tutejszy. Musi do szczętu zmieniać wiele dotychczasowych pojęć — nieraz tak dziwnie absolutnych i tak powierzchownych, jak się teraz przekonywam...

W tygrysiej skórze finlandczyka czai się też »człowiek« — niezaprzeczony, kochający i kochany człowiek. Zaczynam myśleć od dzisiaj, że nawet Szekspir, tworząc Edmunda w »Lirze« i Jagona w »Ottelu« — zapomniał tylko objawić ową człowieczą, chociażby najdrobniejszą cząstkę, która bądź co bądź, wkraść się i przecisnąć się musi do najposępniejszej duszy, chociażby z najczystszego zła skrystalizowanej.

Przyszedł dziś list od finlandczyka z kraju, z fotografją we środku. Z dziecinnym, nieuzasadnionym wstrętem włożyłam go do szufladki w stoliku. List był przesłany do szpitalu, Armer zaś miał orzec czy można go dać choremu do przeczytania. Jakoż młody lekarz nadchodzi.

— Gorączka zwiększa się ogromnie — odpowiada niedbale, gdym powiedziała o liście — za parę godzin straci prawdopodobnie przytomność.

— Więc listu już podawać nie można?

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Słowacy na Węgrzech.

(Ciąg dalszy).

Kiedy wybuchło powstanie węgierskie, Słowacy podobnie jak i Chorwaci, podnieśli sztandar kontrrewolucji w obronie rządu austrjackiego. Na czele wolontarjuszów słowackich stanęli: Sztur, Hodża i Hurban Całe młode pokolenie poszło za nimi. Zaprzątnięta walką polityczną inteligencja nie miała czasu na spokojną pracę kulturną. Pisma słowackie zanikały jedno po drugiem. Miejsce książek i pism zajęły proklamacje, broszury agitacyjne, nareszcie poezje patrjotyczne, ukazujące się w ogromnej ilości.

Jednocześnie z tem powstaje i madziarofilska prasa słowacka, służąca celom Kossuta i węgierskiej partji rewolucyjnej, która obłudnie traktowała wszelkie żądania narodowości niemadziarskich. Podtrzymywana i nawet założona przez tę partję prasa madziarofilska i wydawane przez Kossuta odezwy słowackie wciąż zapewniały Słowaków, że Węgrzy wcale nie mają zamiaru odbierania im języka, ale czyny koszutystów stale mijały się z temi oświadczeniami. Rzecz ciekawa, że na stronę Węgrów przeszły niedobitki dawnych »biblistów». W ich odezwach i broszurach Kossut przedstawia się jako jedyny przyjaciel Słowaków. »Bibliści« otwarcie wypo-

wiadają zdanie, że język węgierski powinien stać się językiem panującym na całych Węgrzech.

Prawie wszyscy reprezentanci kierunku narodowego w literaturze słowackiej stanęli w szeregach powstańczych. Zamienili oni rzemiosło literatów na zajęcie żołnierzy, agitatorów, konspiratorów, organizatorów itd. Wodzowie powstania słowackiego narażeni byli na niemałe niebezpieczeństwo, ponieważ Kossut wykreślił ich z liczby obywateli węgierskich i wyznaczył za pochwycenie każdego z nich 50 czerw. złotych. Wielu pisarzy słowackich jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uniknęło szubienicy. Dopiero w lipcu r. 1848 węgierska republikańsko rewolucyjna korporacja proklamowała równouprawnienie wszystkich narodowości Węgier, ale już było zapóźno. W dwa tygodnie potem Görgöj skapitulował pod Vilagoszem, a rewolucja węgierska była stłumiona przy pomocy wojsk rosyjskich.

Kiedy po rewolucji rząd austrjacki chciał zastosować i na Słowaczyźnie wydane w marcu r. 1849 prawo o rownouprawnieniu narodowości, powstała kwestja języka narodowego. Do tego czasu djalekt środkowo-słowacki, używany przez Sztura i jego stronników, zapanował już był w literaturze całkowicie. Podczas rewolucji sam rząd austrjacki wydawał w tym języku manifesty i odezwy do narodu słowackiego. Język literacki był już wyrobiony dostatecznie, brakowało jedynie pisowni ustalonej. Skorzystał z tego Kollar, który był wówczas profesorem archeologji słowiańskiej we Wiedniu. Kiedy minister spraw wewnętrznych Bach zwrócił się do niego jako do Słowaka z zapytaniem, jaki język powinien być przyjęty na Słowaczyźnie za urzędowy, Kollar napisał raport specjalny, w którym dowodził, że sami Słowacy nie zgodzili się jeszcze na jeden język literacki i dlatego najlepiej by było, gdyby rząd używał w stosunkach ze Słowakami tego języka, który panował u nich aż do bieżącego stulecia tj. czeskiego. Opierając się na potężnej biurokracji czeskiej we Wiedniu, Kollar zapewnił Bacha, że zdanie jego podziela większość Słowaków i w ten sposób język czeski stał się na Słowaczyźnie urzędowym.

Zwolennicy Sztura i samodzielności języka słowackiego byli bardzo rozgoryczeni tak niespodziewanem zwycięstwem przeciwników. Wkrótce ten urzędowy język czeski przekształcił się w dawną czesko-słowacką mieszaniną, używaną przez biblistów, którzy znów podnieśli głowy. Bardziej oportunistycznie usposobiona część obozu Sztura pomału przyzwyczaiła się do tego Duchowieństwo obu wyznań poczęło podtrzymywać literaturę w języku urzędowym, który został nazwany »starosłowackim«. Zwolennicy tego »starosłowackiego« języka, kupiący się dokoła »Slovenskych novin» rozwijali dość energiczną działalność literacką, ale już wkrótce pokazało się, że zwrot do języka „starosłowackiego“ był czemś całkiem nienormalnem, sztucznem.

Chłopi słowaccy wszędzie skarżyli się na to, że nie rozumieją pism, ogłaszanych w języku urzędowym; w szkołach ludowych słowackich czeskie podręczniki były całkiem nieużyteczne; te z pism slowackich, które zastąpiły język ludowy czeskim, poczęły gwałtownie tracić prenumeratorów. Wogóle przerażająca większość Słowaków była niezadowolona z reformy w duchu poglądów Kollara.

Szturowcy znów poczęli bronić samodzielności językowej Słowaków. Postanowili nareszcie wypracować pisownię jednolitą, któraby połączyła wszystkich, piszących po słowacku. Dzięki reformie pisowni i energicznej agitacji Szturowców większość pisarzy słowackich powróciła w końcu 6. lat dziesiątka do języka ludowego, stanowczo porzuciwszy i sztuczny język „starosłowacki“ i obcy czeski. Kwestja języka literackiego była rozstrzygnięta i literatura słowacka pod względem formalnym przyjęła charakter czysto narodowy. Cała inteligencja słowacka przyszła do przekonania, że narzędziem oświaty ludu może być tylko ten język, którego lud używa w życiu codziennem. Obok tego inteligencja słowacka zrozumiała, że zbytkiem byłoby rozwijanie dwóch naraz literatur — jednej dla ludu, drugiej zaś dla inteligencji; że, gdyby inteligencja używała innego, chociażby bardzo pokrewnego języka, to byłaby przez to oddzielona murem chińskim od ludu.

Słowacy, którzy podczas rewolucji węgierskiej złożyli dowody swej lojalności rządowi austrjackiemu, spodziewali się, że Austrja poprze ich usiłowania i zagwarantuje im swobodny rozwój polityczny. Spotykając z entuzjazmem młodego cesarza, Słowacy mieli nadzieję na to, że wszystkie północne komitaty Węgier zostaną zespolone w samodzielną prowincję o szerokim samorządzie. Reskrypt wrześniowy z r. 1850 powinien był, jak się wydawało, zaspokoić wszystkie żądania nietylko Słowaków, ale i innych narodowości Węgier Reskrypt ten obiecywał, wolność, konstytucję, równouprawnienie wszystkich plemion, zupełne prawo rozwijania wszystkich języków, bezpośrednie wybory do sejmu, wolność słowa, prasy i osobistości itd. Reskrypt ten rozdzielał Węgry na prowincje na zasadzie narodościowej.

Nadzieje Słowaków odżyły, ale nie na długo. Wciąż jeszcze niezniesiony stan oblężenia krępował czynność wszystkich stronnictw. Tymczasem agitacja madjarska, w której brali udział i renegaci — szlachta słowacka — nie ustawała i bardzo niepokoiła Słowaków. Nareszcie sam rząd austrjacki postanowił cofnąć ładnie brzmiące obiecanki i zastosować całkiem inną politykę. Nastało panowanie absolutyzmu i systemu giermanizacyjnego, nowe prawo prasowe przygniotło dziennikarstwo słowackie. Gło-

wny organ Szturowców „Slovenske Pohl'ady“ upadł, ponieważ wydawcy nie mogli odrazu zdobyć się na kaucję. Młode pokolenie inteligencji słowackiej zmuszone było otrzymywać wykształcenie w języku niemieckim. Ruch literacki zamarł na czas pewien. Tyćko Hurban, któremu wreszcie udało się wznowić „Slovenske Pohl'ady w końcu 6. lat dziesiątka, starał się przy pomocy kupki pisarzy podtrzymywać dawne tradycje literatury słowackiej. Pomału literatura słowacka odżywa, ale już nie widać entuzjazmu. Niepowodzenia polityczne odbiły się na ogólnym nastroju inteligencji słowackiej. Dawną wiarę we własne siły zastąpiła nadzieja na pomoc zewnętrzną. Jeszcze świeżo tkwił w pamięci wszystkich pobyt wojsk rosyjskich na Węgrzech i oczy zrospaczonych patrjotów słowackich zwróciły się na północ. Pojawił się panslawizm...

Pierwszym propagatorem panslawizmu był Sztur. W r. 1853 napisał on po niemiecku głośną broszurę „Słowiańszczyzna i świat przyszłości“, w której rozwinął swe poglądy na zadania poszczególnych plemion słowiańskich i całej Słowiańszczyzny jako całości. Między poglądami Sztura a jego poprzednika Kollara zachodzi wielka różnica. Kollar uznaje tylko cztery literatury słowiańskie; życzy, ażeby wszyscy Słowianie studjowali cztery główne języki słowiańskie, ażeby pisarze słowiańscy posyłali swe dzieła do wszystkich krajów słowiańskich, ażeby każdy Słowianin według możności podróżował po ziemiach słowiańskich itd. Sztur zaś chce, ażeby każda, najmniejsza nawet jednostka narodowościowa rozwijała swą indywidualność i swe narzecze Tylko w ten sposób — sądził — można dopiąć przyszłej ogólnosłowiańskiej jedności kulturalnej wszystkich narodów słowiańskich. Przyszła ta, jednolita Słowiańszczyzna, posługiwałaby się językiem rosyjskim jako ogólnoliterackim. Tylko wówczas, kiedy Słowiańszczyzna przedstawiałaby jakąś całość, mogłaby odgrywać w Europie rolę taką samą, jak świat romański lub germański. W dwa lata po wydaniu tej broszury Sztur umarł, i jego idee o przyszłem zjednoczeniu Słowian na razie nie zdobyły popularności, tembardziej, iż nowy zwrot w sferach rządowych pozwolił myśleć Słowakom, że czegoś przecież dopną.

Dyplom cesarski z roku 1860 zapewniał wszystkim narodowościom pewne swobody. Na mocy tego dyplomu język węgierski stawał się urzędowym w całych Węgrzech, ale prawa języków miejscowych były do pewnego stopnia uwzględnione, mianowicie w szkole, w sądownictwie, w niższych urzędach administracyjnych itd. Obok tego dyplom gwarantował prawo podawania petycyj wprost rządowi, prawo zakładania stowarzyszeń, wolność słowa i przekonań.

Aczkolwiek Madziarzy, dobrze zorganizowani i umiejący wyciągać korzyść dla siebie ze wszystkich ustępstw rządowych dla innych narodowości, dali do zrozumienia Słowakom, że ci nie mają podstaw do zbyt wielkich nadziei, jednakże Słowacy postanowili skorzystać ze swych nowych praw. W stolicy Węgier poczyna wychodzić dziennik słowacki „Pestbudinske Vedodomosti“, który występuje w roli kierownika życia politycznego narodu słowackiego. Z inicjatywy tego pisma w Turczeńskim św. Marcinie zgromadza się w r. 1861 wiec, w którym bierze udział około 3000 świeckich i duchownych przedstawicieli narodu słowackiego.

Wiec ten wypracował obszerne memorandum, które miało się stać punktem wyjścia dla całej działalności politycznej Słowaków. Na wiec zjawili się i przedstawiciele szlachty słowackiej, ktyra przeważnie ciążyła ku Madziarom, ale tu występowała jako narodowo-słowacka. Byli obecni też trzej deputowani sejmu węgierskiego — Słowacy — którzy obiecali przedstawić memorandum sejmowi.

Memorandum powołuje się na historyczne prawa Słowaków, którzy jeszcze przed ukazaniem się Madziarów panowali na terytorjum podkarpackiem, i żąda, ażeby wszystkie prawa narodu słowackiego były uznane i zabezpieczone na wieczne czasy w granicach etnograficznego obszaru słowackiego. Język słowacki powinien być uznany za urzędowy w administracji, sądownictwie i szkole całego terytorjum słowackiego, węgierski zaś zachowuje swe prawa tylko w stosunkach urzędów miejscowych z władzami centralnemi i w sejmie peszteńskim, gdzie zresztą korzysta z równouprawnienia język każdej narodowości, Węgry zamieszkującej. Memorandum żąda założenia w jednem z miast słowackich słowackiej akademji prawniczej, a na uniwersytecie peszteńskim katedry języka słowackiego i literatury. Oprócz tego, gdyby Słowacy, mieszkający poza słowackim obszarem etnograficznym, chcieli założyć jakieś czysto słowackie stowarzyszenie kulturalne, władze powinny na to pozwolić.

(Dok. nast.). *Leon Wasilewski.*

Wiadomości bibljograficzne.

Małecki Antoni. Z przeszłości dziejowej, pisma pomniejsze, t. I. II. Kraków 1897, w 8-ce, str 276 i 1 nl. 265 i 1 nl.

I. Rewizja dziejów polskich w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia, 962—1146; Jeszcze w sprawio testamentu Bolesława Krzywoustego; Wolna ludność włościańska w pierwszej dziejów polskich epoce; Runy słowiańskie i mikorzyńskie kamienie. II. Grzywny karne w dawnej Polsce i pierwotna nasza grzywna mennicza; Studjum nad bullą Inocentego II. z r. 1136, wydaną dla arcybiskupstwa gnieznieńskiego; Kronika Baszka czyli tzw. kronika wielkopolska; Karta z dziejów Akademji krakowskiej; Jan Ostroróg i jego memorjał o urządzeniu Rzeczypospolitej.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.